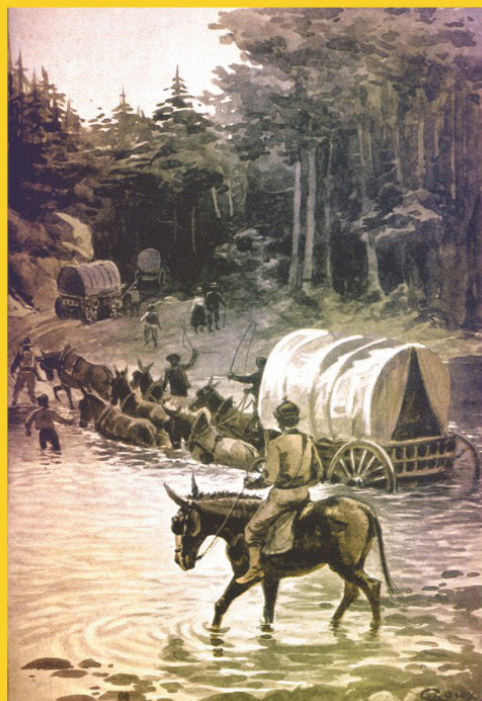




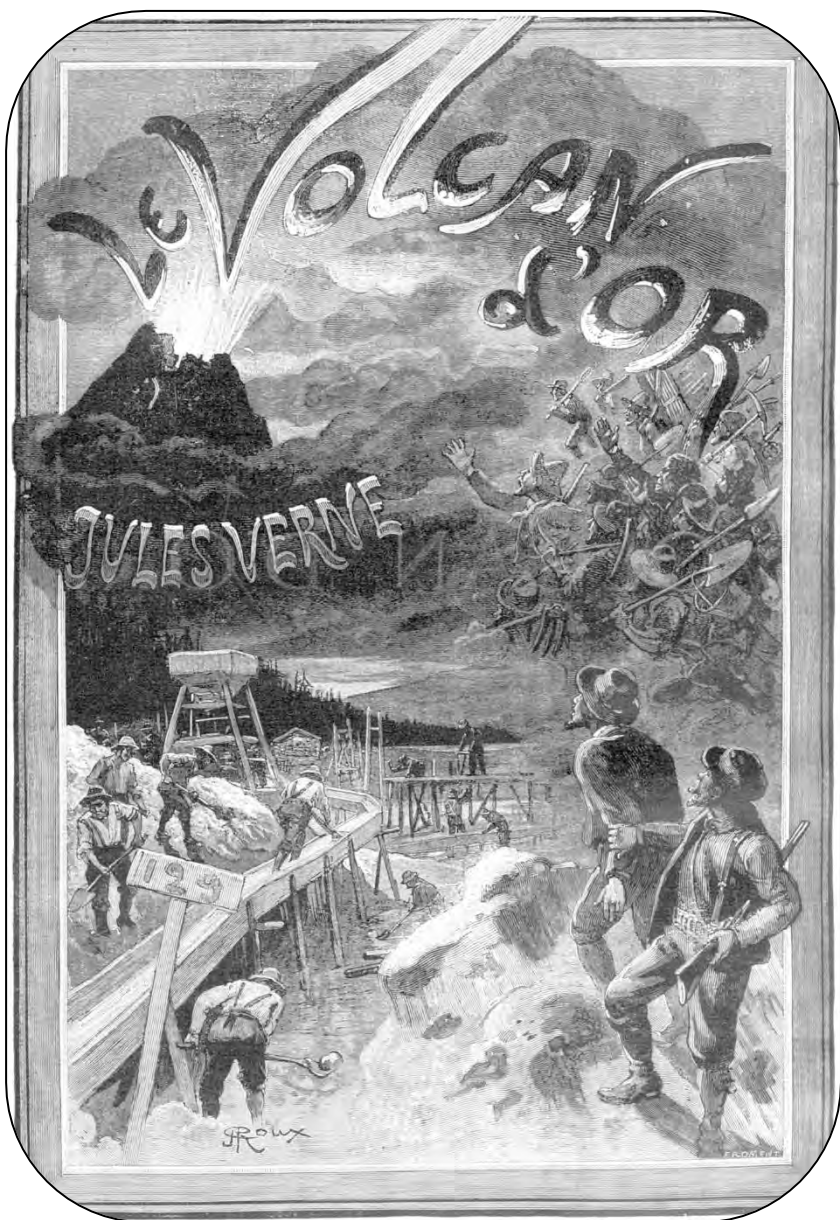
Juliusz Verne

Wulkan złota (Część druga)



ISBN 978-83-68739-01-5 (całość)

ISBN 978-83-67876-88-9 (cz. 2)



Juliusz Verne

WULKAN ZŁOTA

Juliusz Verne



WULKAN ZŁOTA

Przełożył i przypisami opatrzył Janusz Pultyn

**Sto sześćdziesiąta ósma publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuł oryginału francuskiego:
Le Volcan d'or

© Copyright for the Polish translation
by Janusz Pultyn, 2026

49 ilustracji, w tym 12 kolorowych i dwie mapki: George Roux
(zaczerpnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego)

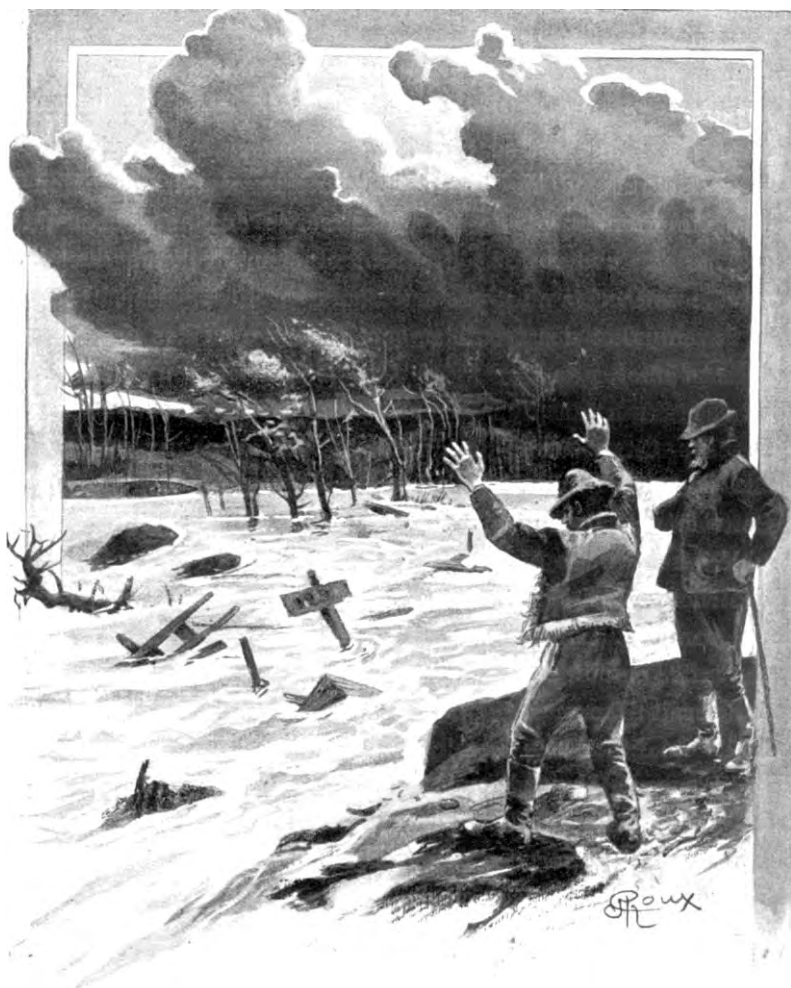
Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk
Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a**

Wydanie I
© Wydawca: JAMAKASZ

Ruda Śląska 2026

ISBN 978-83-68739-01-5 (całość)
ISBN 978-83-67876-88-9 (część druga)



CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział I

Zima w Klondike

Trzęsienie ziemi, o bardzo zresztą ograniczonym zasięgu, dotknęło mocno część okręgu Klondike leżącą między granicą a Jukonem, którą przecina środkowy bieg Forty Miles Creek.

Klondike nie jest wprawdzie narażone na częste wstrząsy sejsmiczne¹, ale w jego ziemi znajdują się skupiska kwarcu i skały erupcyjne, co świadczy o tym, że siły plutoniczne działały u narodzin tej krainy. Obecnie owe siły śpią tylko i budzą się niekiedy z nadzwyczajną gwałtownością. Ponadto w całej tej części Gór Skalistych, która wyrasta w pobliżu północnego koła podbiegunowego, wznosi się kilka wulkanów², których całkowite wygaśnięcie nie jest pewne.

W każdym razie, choć w tym okręgu nie należy się zwykle obawiać trzęsień ziemi czy wybuchów wulkanów, to inaczej rzecz się ma z powodziami powodowanymi nagłymi wylewami *creeks*.

Dawson City nie było rzeczywiście przez nie oszczędzane, i most łączący to miasto z jego przedmieściem, zwanym Klondike City³, był nieraz niszczony.

Tym razem tereny nad Forty Miles Creek spotkała podwójna katastrofa. Całkowite przemieszanie się ziemi spowodowało tam zniszczenie *claimów* na znacznej długości po obu stronach granicy. Wywołana wezbraniem wód powódź zalała miejsce dawnych placów, tak że jakiegokolwiek prace na nich stały się odtąd niemożliwe.

Rozmiary tej katastrofy były początkowo trudne do oszacowania. Kraj ogarnęły głębokie ciemności. Dopiero następnego dnia dało się

¹ Przez okręg Klondike przebiega uskok Tintina Fault, uważany za nieaktywny, ale w roku 1972 doszło tam do trzęsienia ziemi o magnitudzie 5,3.

² W północnej, kanadyjskiej części Gór Skalistych wulkany występują w Kolumbii Brytyjskiej i w południowej części Terytorium Jukon, przy granicy z Alaską, gdzie tworzą Wrangell Volcanic Belt, z takimi wulkanami jak Felsite Peak i Rabbit Mountain.

³ *Klondike City* – przedmieście Dawson City na lewym brzegu Jukonu, w czasach gorączki złota służyło za prostytucji, znajdował się tam także browar.

rozpoznać, że domki, chaty, szałaszy pracowników zostały zniszczone, że większość z tych ludzi straciła dach nad głową, że znaczna była liczba rannych i martwych, po części przysypanych resztkami budynków, a po części zmarłych wskutek utonięcia. O tym natomiast, że cała owa rzesza przybyszów rozproszonych na placach została zmuszona do opuszczenia tego okręgu, dowiedziano się dopiero po uświadomieniu sobie rozmiarów katastrofy.

Już wtedy można było przynajmniej przypuszczać, że ową całkowicie nieodwracalną katastrofę spowodowało zalanie przez część wód Forty Miles Creek złóż leżących nad jego prawym brzegiem. Pod naporem sił podziemnych dno łóżyska rzeki zostało dźwignięte do poziomu obu jej brzegów. Należało więc sądzić, że powódź nie była zjawiskiem przejściowym. Jak w tych warunkach dałoby się wznowić kopanie w ziemi, którą pokrywała bieżąca woda o głębokości pięciu, sześciu stóp, a jej spłynięcia nie można było spowodować?

W jakim przerażeniu i udręce spędzili ową noc biedni ludzie dotknięci tą nagłą katastrofą! Nie pozostało im żadne schronienie, a burza utrzymywała się aż do piątej rano. Pioruny wielokrotnie uderzały w brzozowe i osikowe lasy, w których chowały się rodziny. Nie przestawał też padać ulewny deszcz zmieszany z gradem. Gdyby Lorique podczas wspinania się w górę wąwozu nie natrafił na małą jaskinię, do której on i Summy Skim przenieśli Bena Raddle'a, ranny nie znalazłby nigdzie kryjówki.

Można sobie bez trudu wyobrazić, jakie myśli musiały prześladować obu kuzynów! Swoją jakże długą i ciężką podróż odbyli tylko po to, aby teraz stać się ofiarami takich wydarzeń! Wszystkie ich wysiłki poszły na marne. Nic nie pozostało im ze schedy po wuju, stracili też nawet to, co przyniosło im wydobyć przez sześć poprzednich tygodni. Do ostatniego okrucieństwa przepadło złoto, które pozyskali oni sami i ich nieszczęsna towarzyszka. Po zawaleniu się domku wszystko zabrała powódź. Niczego nie zdołano uratować, a teraz złoto spływało z nurtem *rio*.

Gdy burza minęła, Summy Skim i majster pozostawili Bena Raddle'a pod opieką Jane Edgerton i na kilka chwil wyszli z jaskini z zamiarem rozpoznania rozmiarów katastrofy. Zarówno działka sto dwadzieścia

dziewięć, jak i sto dwadzieścia siedem bis oraz sto trzydzieści jeden zniknęły pod wodą. Rozstrzygnęło to w jednej chwili kwestię graniczną. To, czy sto czterdziesty pierwszy południk zostanie przesunięty bardziej na wschód, czy na zachód, nie miało już znaczenia dla obu *claimów*. Stało się obojętne, czy terytorium to będzie alaskańskie, czy kanadyjskie. Po jego powierzchni płynął szerszy teraz *creek*.

Natomiast liczba ofiar tego trzęsienia miała się okazać wiadoma dopiero po dochodzeniu. Rodziny w swoich chatach lub szałasach musiały zostać zaskoczone czy to wstrząsami ziemi, czy powodzią, i należało się obawiać, że w większości zginęły, nie mając czasu na ucieczkę.

Ben Raddle, Summy Skim, Lorique i Jane Edgerton uratowali się tylko cudem, przy czym inżynier nie był cały i zdrowy. Należało teraz poszukać sposobu na przewiezienie go w możliwie najkrótszym czasie do Dawson City.

Jest oczywiste, że nie było już mowy o sporze Huntera ze Skimem. Ich umówiony na następny dzień pojedynek stracił rację bytu. Obu przeciwników, którzy być może już nigdy więcej nie mieli stanąć przeciwko sobie twarzą w twarz, dręczyły teraz inne zmartwienia.

Kiedy bowiem chmury się rozproszyły, a słońce oświetliło scenę tego dramatu, nie dostrzeżono żadnego z dwóch Teksaszczyków. Nic nie zostało z zajmowanego przez nich domu, stojącego u wylotu wąwozu, którym spływały teraz wody Forty Miles. Bez najmniejszego śladu przepadły sprzęty znajdujące się na powierzchni *claimu*, *rockery*, *sluices* i pompy. Nurt płynął szybciej niż zwykle, gdyż szalejąca poprzedniego dnia burza spowodowała przybór jego wód, a *creek* pomimo poszerzenia zachował swój poziom.

Czy dwaj Teksaszczycy i ich ludzie zdołali ująć cało z tej katastrofy, czy też należało ich zaliczyć do jej ofiar? Nikt tego nie wiedział, a zresztą Summy Skim ani myślał się o nich martwić. Jego jedyną troską było to, by zabrać Bena Raddle'a do Dawson City, gdzie opieki mu nie zabraknie, czekać tam na jego powrót do zdrowia i jeśli zdążą jeszcze to uczynić, wyruszyć w drogę powrotną do Skagway, do Vancouver i Montrealu. Nie istniała odtąd żadna przyczyna, dla której Ben Raddle i on sam mieliby przedłużać pobytu w Klondike. Działka sto dwadzieścia dziewięć nie znajdzie teraz nabywców, gdyż spoczywa pod masami

głębokiej wody. Dlatego najlepiej byłoby możliwie najszybciej opuścić ten okropny kraj, w którym, jak nie bez sporej racji mawiał często Summy Skim, nie powinni się nigdy pojawiać ludzie zdrowi na ciele i umyśle.

Czy jednak szybki powrót będzie możliwy? Czy powrót do zdrowia Bena Raddle'a nie zajmie długich dni, tygodni, a może nawet miesięcy.

Rzeczywiście, wkrótce miała upłynąć pierwsza połowa sierpnia. Przed zakończeniem drugiej przyjdzie zima, tak przedwczesna na tej wysokiej szerokości geograficznej, i uczyni niemożliwymi do pokonania krainę jezior i Przełęcz Chilkoot. Także Jukon wkrótce stanie się niezdalny do żeglugi, a ostatnie *steamboats* wyruszą, aby spłynąć aż do ujścia tej rzeki, zanim Ben Raddle będzie w stanie na nie wsiąść.

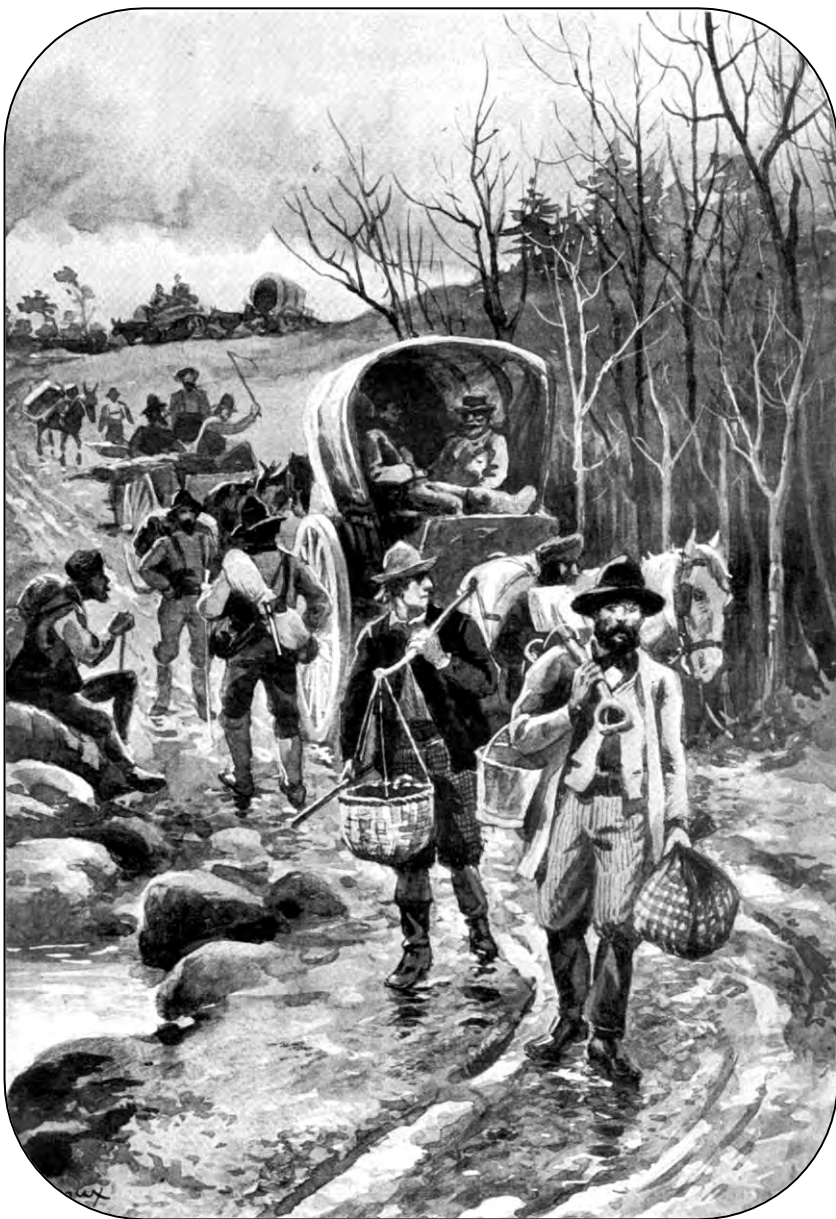
Wówczas trzeba będzie całą zimę spędzić w Dawson. W perspektywie zaś pozostawania przez siedem lub osiem miesięcy w pogrzebanym pod śniegami Klondike, przy mrozach wynoszących pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt stopni, nie było nic przyjemnego. Dlatego też dla uniknięcia tego nieszczęścia należało z wielkim pośpiechem wrócić do Dawson City, powierzyć tam rannego opiece doktora Pilcoxa, z nakazaniem mu, aby jak najszybciej odzyskał zdrowie.

Szcześliwym trafem – gdyż kwestia transportu była nagłą i trudna – Neluto odzyskał swój wóz w stanie nienaruszonym, gdyż zostawił go w miejscu, dokąd nie sięgnęły wody. Również konia, który pał się nieprzywiązany i uciekł przed kataklizmem, udało się odnaleźć i zaprowadzić do jego pana.

– Ruszajmy! – zawołał Summy Skim. – Ruszajmy natychmiast! Ben Raddle ujął jego dłoń.

– Biedny Sammy, czy mi przebacysz? – zapytał. – Gdybyś wiedział, jak ogromnie żałuję, że wciągnąłem cię w tę żalosną wyprawę...!

– To nie o mnie chodzi, ale o ciebie... – odparł Summy Skim zgryźliwym tonem. – Do licha, bądź grzeczny, bo inaczej...! Panna Jane najstaranniej jak tylko można owinie twoją nogę, potem Patrick i ja położymy cię na wozie na porządnej ściółce z suchej trawy. Wsiądę do niego wraz z panną Jane i Nelutem. Lorique i Patrick dołączą do nas w Dawson City, kiedy tylko zdołają. Będziemy jechali tak szybko, jak... Nie, chcę powiedzieć: tak powoli, jak okaże się konieczne, żeby oszczę-



Wiozący Bena Raddle'a wóz wyruszył do Fort Cudahy, jadąc drogami zatłoczonymi przez ludzi wędrujących w poszukiwaniu pracy.

dzać ci wstrząsów. Kiedy już trafisz do szpitala, nie będziesz się musiał niczego obawiać. Doktor Pilcox tylko spojrzy na twoją nogę, a będzie wygojona... Oby tylko nie patrzył na nią nazbyt długo, i oby bylibyśmy w stanie wyjechać przed mroźną porą!

– Kochany Summy – powiedział wtedy Ben Raddle – moje wyleczenie może wymagać wielu miesięcy, a rozumiem, jak bardzo musi ci się śpieszyć z powrotem do Montrealu... Czemu nie miałbyś wyjechać?

– Bez ciebie, Benie...? Chyba majaczysz. Prędej już sam złamię sobie nogę!

Wiozący Bena Raddle'a wóz wyruszył do Fort Cudahy, jadąc drogami zatłoczonymi przez ludzi wędrujących w poszukiwaniu pracy na innych placach. Podążał prawym brzegiem Forty Miles Creek, mijając działające nad nim *claimy*, których nie dosięgła powódź. Na kilku z nich jednak, choć nie zostały zalane przez wodę, nie prowadzono teraz wydobywania. Dotknięte mocno trzęsieniem ziemi, które dotarło na odległość aż pięciu do sześciu kilometrów od granicy, wyglądały żałośnie – miały połamane urządzenia, zasypane studnie, powalone słupy, zniszczone domki. Nie były jednakże całkowicie zrujnowane, i prace na nich można będzie wznowić po niedługiej przerwie.

Wóz nie jechał szybko, gdyż wyboje tutejszych złych dróg powodowały znaczne cierpienia rannego. Dlatego też w Fort Cudahy zatrzymał się dopiero trzeciego dnia od wyjazdu.

Summy Skim nie szczędził oczywiście opieki kuzynowi, niemniej wierność prawdzie każe przyznać, że czynił to dość nieumiejętnie. Ben Raddle ucierpiałby z tego powodu, gdyby nie starania Jane Edgerton, która wymyślała tysiące sposobów układania złamanej kończyny, znajdowała coraz to nowsze i coraz lepsze pozycje, w których leżał poszkodowany, a przede wszystkim bez trudu przychodziły jej do głowy słowa najbardziej pokrzepiające ducha inżyniera.

Niestety, ani ona, ani Summy Skim nie byli w stanie właściwie opatrzyć złamania. Musiał to uczynić lekarz, ale nie było żadnego w Fort Cudahy, podobnie jak w Fort Reliance, dokąd wóz dotarł po dwóch następnych dobach.

Summy Skim miał pełne podstawy do obaw. Czyż stan jego kuzyna nie ulegał pogorszeniu wraz z upływem czasu i wskutek braku

leczenia? Ben Raddle co prawda swoje cierpienia, które musiały być dojmujące, znosił bez skargi, nie chciał bowiem martwić Summy'ego Skima. Ten jednakże wiedział dobrze, jak było, gdyż podczas najsilniejszych ataków gorączki inżynier nie zawsze był w stanie powstrzymać okrzyki bólu.

Konieczny był pośpiech, aby bez względu na wszystko dotrzeć do stolicy Klondike. Jedyne tam Ben Raddle mógł być należycie leczony. Można więc wyobrazić sobie ogrom westchnienia ulgi, jakie wydał Summy Skim, kiedy po południu szesnastego sierpnia wóz zatrzymał się nareszcie przed szpitalem w Dawson.

Przypadek sprawił, że właśnie wtedy obowiązki przywiodły Edith Edgerton na próg tego przybytku. Od jednego spojrzenia rozpoznała, jakiego to pacjenta tam przywieziono, i na pewno ogarnęły ją potężne emocje, ponieważ wszyscy obecni podczas tej sceny mogli dostrzec, jak jej twarz nagle zbladła. Owych emocji, obojętnie jaki miały charakter, nie zdradzały poza tym żadne dostrzegalne oznaki, oprócz tego, że zapomniała uściskać kuzynkę. Nie wypowiedziawszy choćby jednego słowa, szybko przystąpiła do działań mogących najlepiej ulżyć cierpieniu ранego, który wskutek trwającej go gorączki był na progu nieprzytomności. Według jej wskazówek tak umiejętnie zabrano go z wozu i przeniesiono do szpitala, że nie wydał najcichszej nawet skargi. Po dziesięciu minutach Ben Raddle leżał już w izolatce i zasnął tam między dwoma prześcieradłami o olśniewającej bieli na starannie zasłanym łóżku.

– Jak widać, *miss* Edith, miałem rację, utrzymując, kiedy zabieraliśmy panie do Dawson City, że wyjdzie nam to na korzyść! – powiedział Summy z rozpaczą w głosie.

– Co spotkało pana Raddle'a? – zapytała Edith, tylko w ten sposób odpowiadając na jego słowa.

To Jane opowiedziała kuzynce o przygodach, które teraz na jej oczach dobiegały końca. Jeszcze nie skończyła, kiedy przybył doktor Pilcox, po którego Edith od razu posłała.

W Dawson City już od kilku dni wiadano o trzęsieniu ziemi nad Forty Miles Creek, gdzie liczba ofiar tego kataklizmu, co także stało się już wiadome, wyniosła około trzydziestu osób. Doktor Pilcox nie mógł się jednak domyślić, że do poszkodowanych należał inżynier.

– Ojej! – zawołał ze zwykłą dla siebie gadatliwością. – To przecież pan Raddle...! A jeszcze ze złamaną nogą!

– Tak, panie doktorze, on... – potwierdził Summy Skim. – Mój biedny Ben strasznie cierpi...

– Spokojnie...! Spokojnie...! To nic groźnego – mówił dalej lekarz. – Przywrócimy mu tę nogę...! Potrzebuje nie tyle lekarza, ile kręgarza! Złamanie zostanie opatrzone jak należy!

Ben Raddle miał tylko jedno proste złamanie poniżej kolana – złamanie, które lekarz bardzo umiejętnie złożył. Kończyna została następnie umieszczona w aparacie zapewniającym jej całkowite unieruchomienie. Przestrzegając swojego zwyczaju, doktor jednocześnie mówił:

– Drogi pacjencie, ma pan wielkie szczęście! To pewnik: należy łączyć kończyny, aby je wzmacniać. Zyska pan nogi jelenia albo łosia... a raczej nogę jelenia, chyba że woli pan, abym złamał mu drugą!

– Bardzo dziękuję! – szepnął z lekkim uśmiechem Ben Raddle, który całkowicie odzyskał przytomność.

– Proszę mówić śmiało! – zachęcił jowialnie doktor. – Z przyjemnością to zrobię... Wciąż nie...? Nie woli pan...? W takim razie poprzestaniemy na wyleczeniu jednej nogi.

– Ile czasu to zajmie? – spytał Summy.

– Hmm...! Jakiś miesiąc... może sześć tygodni... Pojmuje pan, panie Skim, że kości nie spaja się jak dwóch kawałków żelaza rozgrzanych do białości...! Skoro nie mamy kowadła i młota, konieczny jest czas.

– Czas...! Czas...! – jęknął zawiedziony Summy Skim.

– Cóż poradzić – odparł doktor Pilcox – tu działa natura, a jak pan wie, ona nigdy się nie spieszy! Właśnie dlatego wymyślono cierpliwość.

Uzbroić się w cierpliwość – nic lepszego Summy Skim nie mógł zrobić. Musiał uzbroić się w cierpliwość i pogodzić się z losem, skoro wiedział, że pora mroźna nadejdzie, zanim Ben Raddle znów stanie na nogi! Cóż jednak powiedzieć o krainie, w której zima zaczyna się w pierwszych tygodniach września, i to taka zima, że nagromadzenie śniegów i lodu odcinają cały obszar od świata? Dopóki zaś Ben Raddle nie zostanie całkowicie wyleczony, jak mógłby w tak niskich temperaturach stawiać czoła trudom podróży powrotnej i pokonać Przełęczę Chilkoot, aby zdołać w Skagway zaokrętować się na *steamboat* wyru-

szający do Vancouver? Z tych natomiast statków, które spływają Jukonem aż do Saint Michael, ostatni wyruszy za piętnaście dni, pozostawiając za sobą tworzące się na rzece lody!

I właśnie dwudziestego sierpnia do Dawson City przybył *scout*.

Pierwszą troską Billa Stella było dowiedzieć się, czy panowie Ben Raddle i Summy Skim skończyli załatwiać sprawy związane z *claimem* sto dwadzieścia dziewięć i czy robią przygotowania do powrotu do Montrealu. W tym celu poszedł do szpitala zasięgnąć języka u doktora Pilcoкса.

Jakże się zdumiał na wieść, że Ben Raddle jest tam leczony i nie zdoła wyzdrowieć przed upływem sześciu tygodni.

– Tak, Billu – wyłuszczał mu Summy Skim – w takiej właśnie jesteśmy sytuacji! Nie tylko nie sprzedaliśmy działki sto dwadzieścia dziewięć, ale jeszcze tej działki już nie ma...! I nie tylko nie ma już działki sto dwadzieścia dziewięć, ale też nie możemy opuścić tego okropnego Klondike i ruszyć do kraju bardziej zdawnemu do życia!

Scout dowiedział się następnie o katastrofie nad Forty Miles, i o tym, jak podczas niej Ben Raddle został poważnie ranny.

– To właśnie jest najgorsze – zakończył opowieść Summy Skim – bo przecież nie nosimy żaloby po działce sto dwadzieścia dziewięć. Mnie samego ona nic nie obchodzi! Do diabła! Co za dumny pomysł miał wuj Josias, kupując działkę sto dwadzieścia dziewięć i zostawiając nam tę sto dwadzieścia dziewięć, gdy umierał!

Sto dwadzieścia dziewięć...! – Trzeba by było słyszeć, jak Summy Skim wymawiał tę przekłętą liczbę!

– Och!– zawołał. – *Scoucie*, gdyby biedny Ben nie padł ofiarą tego trzęsienia ziemi, jakże w głębi duszy bym je błogosławił! Uwolniło nas od uciążliwego dziedzictwa! Koniec z *claimem*! Koniec z wydobywaniem złota! Moim zdaniem tylko byśmy na tym zyskali!

– A zatem zostali panowie zmuszeni – przerwał mu *scout* – by spędzić zimę w Dawson City?

– Raczej na biegunie północnym! – odparł Summy Skim.

– Czyli po to przybyłem w poszukiwaniu panów... – ciągnął swoją myśl Bill Stell.

– Żeby wyruszyć z powrotem bez nas, Billu – dokończył Summy Skim tonem rezygnacji niemal przechodzącej w rozpacz.

Bill Stell wyruszył kilka dni później, a przedtem pożegnał się z dwoma Kanadyjczykami, obiecując, że przybędzie po nich wraz z początkiem wiosny.

– Za osiem miesięcy! – westchnął Summy Skim.

Przynajmniej leczenie Bena Raddle’a postępowało jak należy. Nie wystąpiły żadne powikłania. Doktor Pilcox zapewniał, że nie mógłby być bardziej zadowolony. Noga jego pacjenta stanie się tylko jeszcze mocniejsza i będzie warta dwóch.

– Wynika stąd, że będzie miał je trzy, jeśli dobrze liczę – mawiał chętnie lekarz.

Ben Raddle znosił swoją niedolę cierpliwie. Wszystko wskazywało na to, że otoczony przez Edith znakomitą opieką przywykał do życia spędzanego w szpitalu. Co najwyżej można mu było zarzucić, że miał trochę zbyt duże wymagania wobec swojej przemilej pielęgniarki. Czas, który spędzała z tego powodu przy łóżku swojego rannego, mocno się przedłużał, a on i tak protestował, jeśli opuszczała go choćby na kilka minut, aby wykonywać inne obowiązki. Nie obywało się wówczas bez jego bardzo gwałtownych sprzeciwów. Należy wszakże dodać, że nie wywoływało to bynajmniej oburzenia ofiary tej tyranii. Edith chętnie wdawała się w długie rozmowy z inżynierem, a opuszczała go jedynie wtedy, gdy spał, aby z cudowną sprawnością pracować, tak by inni pacjenci szpitala nie ucierpieli wskutek szczególnej troski, jaką okazywała jednemu z nich.

Kiedy tych dwoje młodych ludzi przebywało z sobą sam na sam, nie pomyśleli o nawiązaniu najskromniejszego nawet romansu. Skądże, podczas wypraw myśliwskich jego kuzyna, na które ten wyruszał z wiernym Nelutem każdego dnia, kiedy pozwalala na to pogoda, Ben Raddle śledził na bieżąco stawki na rynkach w Dawson City i nowe odkrycia dokonywane na terenach złotonośnych. Jego żywą gazetą była Edith, która czytała mu miejscowe dzienniki, takie jak „Słońce Jukonu”, „Słońce Północy”, „Samorodek Klondike”¹ i jeszcze inne. Czy

¹ *Słońce Północy* – właściwie „Yukon Midnight Sun” (Jukońskie Słońce o Północy); J. Verne błędnie podzielił ten tytuł między dwie różne gazety, tygodnik zaczął się ukazywać w czerwcu 1898 roku, redaktorem był Gene Kelly, wychodził do 1905, występował też pod tytułami „Yukon Sun”, „Daily Morning Sun”, „Yukon Sun and Klondike Pioneer” i „Yukon Weekly Sun”; *Samorodek Klondike* („Klondike Nugget”) – druga

przypadek działki sto dwadzieścia dziewięć oznaczał, że w tym kraju nie było już nic więcej do zrobienia? Czy nie istniały inne *claimy*, które można było kupić, a potem prowadzić na nich wydobyć? Inżynier niewątpliwie nabrał upodobania do prac, które prowadził nad Forty Miles Creek.

Pilnował się jednak mocno, by o tych mglistych zamierzeniach nie mówić Summy'emu Skimowi, który tym razem nie zdołałby może powściągnąć swego całkowicie uzasadnionego oburzenia. Wetował jednak sobie tę powściągliwość, gdy była przy nim tylko Edith, która nie upadła na duchu po stracie poniesionej przez jej kuzynkę, ale zachowała w pełni wiarę w przyszłość. Wraz z inżynierem omawiała zalety tej czy innej części okręgu. Oboje najpoważniej w świecie tworzyli plany na przyszłość. Jak zatem widać, choć gorączka wywołana raną przestała już trawić ciało Bena Raddle'a, to gorączka złota nadal szalała w jego duszy, i nic nie zdawało się wskazywać, żeby był bliski wyleczenia się z niej. Owo rozgorączkowanie umysłu nie wynikało zresztą na żądzy zagarnięcia cennego kruszcu, ale raczej z pasji dokonywania odkryć i upojenia duchowego, którego źródłem była myśl o spełnianiu śmiałych marzeń powstających w jego mózgu.

I dlaczego jego wyobraźni nie miałyby rozpalać nowiny o *claimach* w górach nad Bonanzą, Eldorado i Little Skookum¹? Jeden pracownik w ciągu godziny wymywał tam złoto o wartości nawet stu dolarów! Wykop o długości dwudziestu czterech stóp i szerokości czternastu przynosił tam osiem tysięcy dolarów! Syndykat z Londynu za cenę miliona siedmuset pięćdziesięciu tysięcy franków zakupił dwa *claimy* nad rzekami Bear i Dominion²! Noszący numer dwadzieścia sześć placer

gazeta, która zaczęła się ukazywać w Dawson City, pierwszy numer wyszedł 16 czerwca 1898 roku, wydawana do 1903, w 1898 ukazywała się dwa razy w tygodniu, pierwszym redaktorem był Eugene Allen, od roku 1899 jego brat George Allen.

¹ *Little Skookum* – mały potok, lewy dopływ Bonanza Creek, ujście 16 km na południowy wschód od Dawson City, w miejscu ujścia w roku 1886 George Carmack i jego szwagier Jim Skookum, Indianin z plemienia Tagish, odkryli pierwsze złoto w okręgu Klondike.

² *Dominion Creek* – prawy dopływ Indian River, źródła na zboczach Dôme, ujście 60 km na południowy wschód od Dawson City, w roku 1896 Albert Fortier znalazł na nim złoto.

nad Eldorado był do odstąpienia za dwa miliony, a każdy pracujący na nim codziennie zbierał złoto o wartości sięgającej sześćdziesięciu tysięcy franków! Czyż pan Ogilvie nie zapewniał, a był on wybitnym znawcą, że w Dome, na linii działu wód między Klondike Creek a Indian River, będzie można wydobyć złoto o wartości stu pięćdziesięciu milionów franków?

A przecież, pomimo tego mirażu, Ben Raddle nie powinien był zapominać o słowach, które pastor z Dawson City powtarzał Francuzowi, panu Amésowi Semiré¹, podróżnikowi i jednemu z najlepszych badaczy tych złotonośnych obszarów:

„Przed wyjazdem powinien pan zapewnić sobie łóżko w moim szpitalu. Nie pożałuje pan tego, jeżeli podczas podróży nie ustrzeże się również gorączki złota. Nieuniknione będzie pana przepracowanie, zwłaszcza w przypadku znalezienia choćby odrobiny złota, a w tym kraju występuje ono wszędzie. Na pewno w takim przypadku nabawi się pan szkorbutu czy czegoś innego. A za dwieście pięćdziesiąt franków rocznie wydaję abonament, który uprawnia do pryczy i darmowej opieki lekarskiej. Wszyscy ode mnie kupują te *tickets*². Oto pański”³.

Osobiste doświadczenie przekonało Bena Raddle’a, że opiece zapewnianej przez szpital w Dawson nie można niczego zarzucić. Czy jednak pociąg do przygód, któremu nie był w stanie się oprzeć, nie zawiedzie go daleko od Dawson City, na obszary niezbadane lub takie, gdzie zostaną odkryte nowe złoża?

Czy nie podzieli wówczas nieszczęść tak wielu ludzi, którzy ginęli, nie mogąc powrócić? Tak, ukazujące się tam gazety powtarzały: Klondike przyniosło siedem milionów pięćset tysięcy franków w roku 1896, dwanaście milionów pięćset tysięcy franków w 1897, a w 1898 ta suma nie będzie mniejsza niż trzydzieści milionów!

¹ *Amés Semire* – u J. Verne’a: Amis Semalé; pseudonim Raymonda Auzias-Turenne’a (1861-1940), francuskiego publicysty, dyplomaty i bankiera, od roku 1885 mieszkającego w Ameryce Północnej, autora kilku książek, np. *Voyage au pays des mines d’or: le Klondike* (1899) i *Le roi du Klondike* (1901), które należały do źródeł J. Verne’a, z tej pierwszej (s. 182) pochodzą przytoczone tu dane o działkach.

² *Ticket* (ang.) – bilet, talon.

³ Cytat pochodzi z książki Raymonda Auzias-Turenne’a *Voyage au pays des mines d’or: le Klondike*, s. 188.

W tym czasie Summy Skim dowiadywał się w policji o Teksańczyków Huntera i Malone’a. Czy byli widziani po katastrofie nad Forty Miles Creek?

Otrzymał odpowiedź przeczącą. Żaden z nich nie wrócił do Dawson City, gdzie swą obecność jak zwykle obwieściliby wybrykami. Spotkano by ich w kasynach, w domach gry, we wszystkich miejscach rozrywki, w których grali pierwsze skrzypce. Mogli więc zginąć podczas trzęsienia ziemi nad Forty Miles Creek, porwani przez powódź, jaką wywołało. Ponieważ jednak nie znaleziono żadnego z Amerykanów pracujących na *claimie* sto trzydzieści jeden, a trudno było przypuszczać, że wszyscy padli ofiarą katastrofy, istniały powody, aby podejrzewać, że Hunter i Malone wyruszyli ze swoimi ludźmi na złoża pod Circle City i nad Birch Creek, gdzie wszczęli nowe prace.

Na początku października Ben Raddle mógł już wstawać z łóżka. Doktor Pilcox był nieustająco dumny z jego postępów w powrocie do zdrowia, do którego w równej mierze przyczyniły się starania i lekarza, i Edith.

Chociaż jednak Ben Raddle wydobrał, to wymagał jeszcze pewnej opieki i podróz z Dawson City do Skagway byłaby ponad jego siły. I tak zresztą było już na nią za późno. Padały obficie pierwsze śniegi tej zimy, rzeki zaczynał skuwać lód, żegluga nie była już możliwa ani po Jukonie, ani po jeziorach. Średnia temperatura osiągała piętnaście stopni poniżej zera, a czekano na jej spadek jeszcze do pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu.

Obaj kuzyni wybrali więc pokój w hotelu przy Front Street i jadali posiłki we French Royal Restaurant¹, lecz nie doprawiali ich już jednak szczerą wesołością. Mało rozmawiali przy jedzeniu. Różnica ich charakterów zaznaczała się także w posępności.

Kiedy zaś Summy Skim mówił czasami, kręcąc głową:

– A najgorsze w tym wszystkim jest to, że przed zimą nie zdołaliśmy opuścić Dawson City.

Ben Raddle odpowiadał mu nieodmiennie:

– Być może najgorsze w tym wszystkim jest to, że przed katastrofą nie sprzedaliśmy naszego *claimu*, a na pewno to, że nie możemy prowadzić na nim dalszego wydobywania!

¹ Restauracja o tej nazwie rzeczywiście działała w Dawson City, jej właścicielem był Peter E. DeVille, w grudniu 1898 roku została zamknięta.

Wtedy Summy Skim, nie chcąc rozpoczynać daremnego sporu, chwycił strzelbę, wołał Neluta i wychodził na polowanie w okolicach miasta.

Minął jeszcze jeden miesiąc. Wahania słupka termometru były naprawdę niezwykle. Opadał on do trzydziestu lub czterdziestu stopni poniżej zera, a potem podnosił się do piętnastu bądź dziesięciu minus, w zależności od kierunku wiatru.

W tym czasie Ben Raddle odzyskiwał zdrowie w bardzo szybkim tempie. Wkrótce w towarzystwie Summy'ego Skima był w stanie wyruszać na dłuższe z każdym następnym dniem wycieczki, do których, kiedy obowiązki zatrzymywały jej kuzynkę, dołączała przeważnie Jane Edgerton. Spacer, kiedy tylko pozwalała na to spokojna pogoda, czy jazda saniami po stwardniałym śniegu, kiedy to otulali się w ciepłe futra, sprawiały całej trójce prawdziwą przyjemność.

Pewnego dnia, siedemnastego listopada, wszyscy troje wybrali się na pieszą wędrowkę i oddalili się mniej więcej o jedną ligę w kierunku północnym od Dawson City. Summy Skim miał udane polowanie i szykowali się już do powrotu, kiedy Jane Edgerton zatrzymała się nagle i wskazała drzewo odległe o jakieś pięćdziesiąt kroków.

– Człowiek... tam...! – zawołała.

– Człowiek...? – powtórzył Summy Skim.

I rzeczywiście, pod brzozą leżał na śniegu jakiś człowiek. Nie ruszał się wcale. Musiał być martwy, zamrożony na śmierć, ponieważ temperatura była bardzo niska.

Troje spacerowiczów podbiegło do niego. Nieznajomy mógł mieć około czterdziestu lat. Miał zamknięte oczy, a jego twarz zdradzała ogromne cierpienie. Jeszcze oddychał, choć tak słabo, że sprawiał wrażenie, jakby znajdował się już na progu śmierci.

Jakby było to całkiem oczywiste, dowodzenie objął od razu Raddle.

– Ty, Summy – nakazał zwięźle – spróbuj znaleźć jakiś pojazd. Ja pobiegnę do najbliższego domu po kordiał¹. Zanim wrócimy, panna Jane będzie nacierała chorego śniegiem i starała się go ocucić.

Polecenia zostały natychmiast wykonane. Zanim Ben Raddle ruszył w swoją stronę, Summy już biegł z całych sił w kierunku Dawson.

¹ *Kordiał* – mocny trunek sporządzany z dodatkiem owoców lub ziół, uważany za lek wzmacniający, zwłaszcza serce, jak wskazuje nazwa (z łac. *cordialis* – serdeczny).



– Człowiek... tam...! – zawołała.

Kiedy Jane została sama przy nieznajomym, uznała za konieczne mocno go rozcierać. Zaczęła od twarzy, następnie rozchyliła gruby futrzany płaszcz z kapturem, żeby przejść do ramion i piersi.

Z jednej kieszeni wypadł skórzany portfel i na ziemię posypały się różne kartki. Uwagę Jane przyciągnęła zwłaszcza jedna, dlatego podniosła ją i rzuciła okiem. Okazała się złożonym we czworo arkuszem pergaminu z postrzępionymi brzegami, które z powodu częstego gniecienia niemal się odrywały. Po jego rozłożeniu pojawiła się mapa przedstawiająca odcinek wybrzeża morskiego, za jedyne oznaczenia mająca narysowany równoleżnik, południk i duży czerwony krzyżyk postawiony w jednym punkcie owego nieznanego brzegu.

Jane złożyła arkusz, bezwiednie włożyła go do swojej kieszeni, a potem zebrała resztę kartek i schowała je do portfela. Następnie wróciła do energicznego ratowania, które w końcu przyniosło niezaprzeczalnie pozytywne skutki. Chory lekko się poruszył. Wkrótce potem zadrgały mu powieki, a z jego sinych ust dobyły się niewyraźne słowa. Jednocześnie ręką, która dotąd spoczywała na piersi, słabo uściśnął dłoń Jane Edgerton. Nachyliwszy się nad nim, młoda kobieta zdołała wychwycić kilka słów, które według niej były pozbawione sensu.

– Tam... – mówił umierający. – Portfel... Przekazuję go... Wulkan Żłota... Dziękuję... Tobie... matko...

Właśnie wtedy wrócił Ben Raddle, a na drodze rozległy się odgłosy nadjeżdżającego galopem wozu.

– Znalazłam to – powiedziała Jane, przekazując inżynierowi portfel.

W portfelu znajdowały się listy, wszystkie mające za adresata jedną osobę: pana Jacques’a Leduna, i wszystkie wysłane z Nantes¹ lub Paryża.

– Francuz! – zawołał Ben Raddle.

W następnej chwili mężczyzna ów zapadł w głęboki letarg. Położono go na sprowadzonym przez Summy’ego wozie i przewieziono do szpitala w Dawson.



¹ *Nantes* – stare miasto w zachodniej Francji, nad dolną Loarą, port leżący 50 km od Zatoki Biskajskiej, miejsce urodzenia Juliusza Verne’a.

Rozdział II

Wulkan złota

Po kilku minutach wóz dotarł do szpitala. Przywiezionego nim człowieka wniesiono do środka i położono w tym samym pokoju, który zajmował Ben Raddle, nim stanął na nogi. Dzięki temu chory nie był narażony na przebywanie z innymi pacjentami.

To odosobnienie zawdzięczał Summy'emu Skimowi, który dla uzyskania tego przywileju wykorzystał znajomości na wysokim szczeblu.

– To Francuz, niemalże rodak! – powiedział do Edith Edgerton. – Proszę panią, aby to, co uczyniła dla Bena, zrobiła i dla niego. Mam też nadzieję, że doktor Pilcox wyleczy go tak samo jak mojego kuzyna.

Lekarz bez zwłoki przyszedł do swojego nowego podopiecznego. Francuz nie odzyskał przytomności i nie otwierał oczu. Doktor Pilcox stwierdził u niego bardzo słaby puls i ledwo wyczuwalny oddech. Na ciele, straszliwie wychudzonym wskutek głodowania, przebytych trudów i wycieńczenia, nie dostrzegł żadnych ran. Bez wątplenia nieszczęśnik upadł wyczerpany przy drzewie, spod którego został zabrany, a mróz na pewno by go zabił, gdyby spędził tam całą noc bez pomocy i schronienia.

– Ten człowiek był bliski zamarznięcia – powiedział doktor Pilcox.

Pacjent został opatulony kocami, pod które położono butelki z ciepłą wodą, podawano mu gorące napoje i nacierano, aby powróciło krążenie krwi. Czyniono wszystko, co tylko było możliwe. Wysiłki te okazały się daremne, pacjent pozostawał w stanie głębokiego wyczerpania.

Czy przywieziony umierający powróci jeszcze do życia? W tej sprawie doktor Pilcox odmawiał wypowiedzi.

Jacques Ledun, takie imię i nazwisko odczytano jako adresata listów, wysłanych bez wyjątku przez matkę tego Francuza i znalezionych w jego portfelu. Najnowszy miał datę sprzed pięciu już miesięcy i według stempla przybył z Nantes. Matka pisała do syna przebywającego w Dawson City, Klondike, prosząc usilnie o odpowiedź, która być może nie została wysłana.

Ben i Summy przeczytali te listy, a następnie przekazali je Edith i Jane Edgerton. Wywołały u wszystkich głębokie poruszenie, które mężczyźni maskowali nieraz zaciskaniem ust i powiek, u młodych kobiet natomiast, pomimo ich wielkiego hartu ducha, łzy litości tryskały swobodnie. Każda linijka wyrażała najbardziej żarliwą matczyną miłość. Korespondencja zawierała niekończący się ciąg dobrych rad, czułości i napomnień, aby Jacques dbał o siebie, a przede wszystkim, aby wracał i porzucił swoją ryzykowną pogoń za bogactwem. Tak właśnie nieustannie nawoływała bardzo oddalona matka, która z uśmiechem znosiłaby biedę, gdyby tylko stawiali jej czoła we dwoje.

W każdym razie listy te dostarczyły przydatnych informacji o ich adresacie. Gdyby umarł, biedną matkę można będzie powiadomić o nieszczęściu, które na nią spadło.

Na podstawie matczynych listów, w liczbie kilkunastu, zdołano ustalić, że Jacques Ledun opuścił Europę już dwa lata wcześniej. Nie przyjechał wszakże od razu do Klondike, żeby zajmować się poszukiwaniem złota. Zapisy części korespondencji wskazywały, że musiał najpierw szukać szczęścia na terenach złotonośnych w Ontario i Kolumbii. Następnie, niewątpliwie zwabiony bajecznymi doniesieniami prasy o Dawson City, dołączył do tłumu górników. Nic jednak nie wskazywało na to, aby został właścicielem *claimu*, ponieważ jego portfel nie zawierał aktów własności, jak zresztą, oprócz odczytanych listów, żadnych innych papierów.

A przecież istniał jeden dokument, lecz nie było go już w portfelu, gdyż dostał się w ręce Jane Edgerton, która nie miała głowy, aby wspomnieć o nim kuzynce i przyjaciółom. Dopiero wieczorem, kiedy kładła się spać, pomyślała o tym dziwnym arkuszu pergaminu i rozłożyła go pod świecącą lampą, aby dla rozrywki odczytywać go niby rebus.

Była to rzeczywiście mapa, jak domyśliła się od razu. Dość niedbale narysowane ołówkiem linie przedstawiały brzeg oceanu, do którego uchodziła rzeka mająca kilka dopływów. Przyjmując przeważnie stosowaną orientację map, należało zakładać, że owa rzeka zdążała zapewne na północny zachód. Czy był nią Jukon albo jego dopływ, Klondike River? Taka hipoteza była niemożliwa do przyjęcia. Zgodnie z kierunkiem mapy w grę wchodził jedynie Ocean Lodowaty i obszary leżące

poza północnym kołem podbiegunowym. Na skrzyżowaniu południka opatrzonego numerem 136°15' i równoleżnika, którego wartość liczbową nie została podana, znajdował się czerwony krzyżyk. Od razu przykuł on uwagę Jane Edgerton, ale jej starania, by odgadnąć jego znaczenie, nie przyniosły żadnego rozwiązania zagadki. Brak liczby wskazującej na szerokość geograficzną uniemożliwiał rozpoznanie, jaką część Ameryki Północnej przedstawiała mapa, a zwłaszcza, w jakim miejscu kontynentu mógł leżeć tajemniczy czerwony krzyżyk.

Czy zatem to do owej krainy, bez względu na jej położenie, wyruszał Jacques Ledun, czy też wracał z niej, kiedy pokonany trudami padł kilka kilometrów od Dawson City? To nigdy nie stanie się wiadome, jeśli śmierć zabierze nieszczęsnego Francuza, zanim odzyska on przytomność.

Wydawało się nie budzić wątpliwości, że Jacques pochodził z rodziny cieszącej się pewną pozycją społeczną. Nie był robotnikiem, o czym świadczyły listy jego matki, napisane dobrym stylem. Jakie więc przeciwności losu, jakie nieszczęścia doprowadziły go do takiego stanu, do budzącego litość kresu na szpitalnym łóżku?

Minęło kilka dni, lecz pomimo opieki, jakiej mu nie szczędzono, stan Jacques'a Leduna się nie poprawiał. Na zadawane mu pytania był co najwyżej w stanie mamrotać jakieś niezrozumiałe słowa. Były nawet podstawy by się zastanawiać, czy nie stracił całkowicie rozumu.

– Należy się obawiać – mówił o nim doktor Pilcox – że umysł naszego pacjenta został mocno zachwiany. Kiedy lekko otwiera oczy, widzę zamglony wzrok, który napawa mnie niepokojem.

– A jego stan fizyczny – dopytywał się Summy Skim – czy się polepsza?

– Mam wrażenie – oświadczył wprost lekarz – że jest jeszcze bardziej zagrożony niż stan jego ducha.

I jeśli doktor Pilcox, tak zwykle pełen pewności siebie, mówił w ten sposób, to dlatego, że nie miał wielkich nadziei na wyzdrowienie Jacques'a Leduna.

Ben Raddle i Summy Skim nie chcieli się jednak wyrzec nadziei. Uważali, że z czasem nastąpi poprawa. Jeśli nawet Jacques Ledun nie odzyska zdrowia, to przynajmniej wróci mu rozum, będzie mówił, odpowiadał na pytania.

Kilka dni później pewne objawy zdawały się przyznawać rację kuzy-
nom. Czyżby doktor Pilcox zbyt mocno zwątpił w skuteczność swoje-
go leczenia? W każdym razie zmiany, na które tak niecierpliwie czekał
Ben Raddle, zaczęła się pojawiać. Stan odrętwienia, w jakim znajdował
się Jacques Ledun, jakby ustępował. Jego oczy pozostawały dłużej
otwarte. Bardziej skupione spojrzenia szukały wyjaśnień, spoczywały
zdmucone na szczegółach nieznanego im pokoju i na ludziach zgroma-
dzonych wokół chorego, na lekarzu, Benie Raddle'u, Summym Skimie
oraz na Edith i Jane Edgerton.

Czy uda się biedaka uratować?

Zrezygnowany doktor kręcił głową. Pozornie korzystne symptomy
nie mogły zmylić lekarza. Choć umysł chorego zabłąsnał, to pozosta-
wał w przededniu wygaśnięcia. Pacjent otworzył wprawdzie oczy, ale
wkrótce zamknie je na zawsze. Doszło jedynie do ostatniej walki życia
opierającego się nadaremnie rychłemu zaniknięciu.

Edith stała pochylona, wychwytując przerywane westchnieniami
słowa, które bardzo cichym, ledwo dochodzącym do niej głosem szep-
tał Jacques Ledun. Na pytanie, którego bardziej się domyśliła, niż je
usłyszała, wyjaśniła:

- Jest pan w sali szpitalnej.
- Gdzie? – zapytał chory, próbując się podnieść.
- W Dawson City... Sześć dni temu znaleziono pana nieprzytom-
nego na drodze... Przewieziono pana tutaj.

Powieki Jacques'a Leduna opadły na chwilę. Wydawało się, że ten
wysiłek go wyczerpał. Lekarz podał mu kilka kropli kordiału, które
doprowadziły krew na blade policzki, a słowa na usta.

- Kim jesteście? – zapytał Ledun.
- Kanadyjczykami, niemal Francuzami – odpowiedział Summy Skim. –
Proszę nam zaufać. Uratujemy pana.

Chory uśmiechnął się słabo i opadł znowu na poduszkę. Bez wątpienia
zdawał sobie sprawę z bliskości śmierci, gdyż spod jego zamkniętych
powiek wymykały się wielkie łzy, które jedna po drugiej spływały po
wynędzniałej twarzy. Zdaniem lekarza nie należało zadawać Francu-
zowi dalszych pytań. Lepiej pozwolić mu odpoczywać. Czuwali przy
jego łóżku, gotowi mu odpowiadać, jeśli odzyska dość sił, aby mówić.

Przez dwa następne dni nie następowało ani pogorszenie, ani polepszenie stanu Jacques'a Leduna. Pozostawał tak samo osłabiony i można się było obawiać, że nie wyzdrowieje. Jednakże w znacznych odstępach czasu był w stanie znowu mówić – choć z wielkim wysiłkiem – i odpowiadać na pytania, które zdawał się wywoływać. Wyczuwało się, że było wiele rzeczy, które pragnął powiedzieć.

Dzięki temu zdołano stopniowo poznać historię owego Francuza, zarówno na podstawie tego, co mówił w chwilach przytomnego rozumowania, jak i tego, co zdołano pojąć ze słów wypowiedzianych w chwilach majaczenia. Wydawało się jednak, że pewne okoliczności jego życia już na zawsze pozostaną tajemnicą. Co robił w Klondike? Skąd przybył albo dokąd zmierzał, kiedy padł u wrót Dawson? Nic nie pozwalało dowiedzieć się czegoś w tych sprawach.

Jacques Ledun, Bretończyk z Nantes, miał czterdzieści dwa lata i tak silną budowę ciała, że jedynie najstraszliwsze trudy mogły równie mocno go złamać.

Jego matka, wdowa po maklerze, który zbankrutował wskutek ryzykownych spekulacji, nadal mieszkała w Nantes, gdzie toczyła coraz bardziej nierówną walkę z pogłębiającą się biedą.

Jacques od dzieciństwa za swe powołanie uważał morze. Poważna choroba, na którą zapadł, kiedy miał zdawać egzaminy do Akademii Marynarki Wojennej¹, zatrzymała go na progu kariery oficerskiej. Po przekroczeniu ustawowego wieku musiał się zaciągnąć jako praktykant na statek handlowy, a po kilku rejsach do Melbourne, Indii i San Francisco został kapitanem żeglugi wielkiej. Z tym tytułem wstąpił do marynarki wojennej jako kandydat na chorążego.

Służył jako kapitan przy trzy lata, aż pojął, że jeśli nie zajdą bardzo rzadkie okoliczności, kiedy to marynarz mógłby się wyróżnić, nigdy nie doścignie w awansach tych kolegów, którzy ukończyli „Bordę”². Dlatego złożył dymisję i próbował zdobywać pozycję w marynarce wojennej.

¹ *Akademia Marynarki Wojennej* – francuska wyższa uczelnia szkoląca kadry marynarki wojennej, założona w roku 1830 w Breście, istnieje nadal.

² „*Borda*” – francuski trójmasztowy żaglowy okręt wojenny, zwodowany w roku 1847 pod nazwą „*Valmy*”, w 1863 przemianowany na „*Borda*” i przeznaczony do służby jako okręt szkolny Akademii Marynarki Wojennej w Breście, rozebrany w 1891, nazwę tę nosiły także inne okręty szkolne, stała się więc synonimem Akademii.

Dowództwo statku okazało się trudne do uzyskania, i musiał się zadowolić funkcją pierwszego oficera na żaglowcu pływającym po morzach południowych.

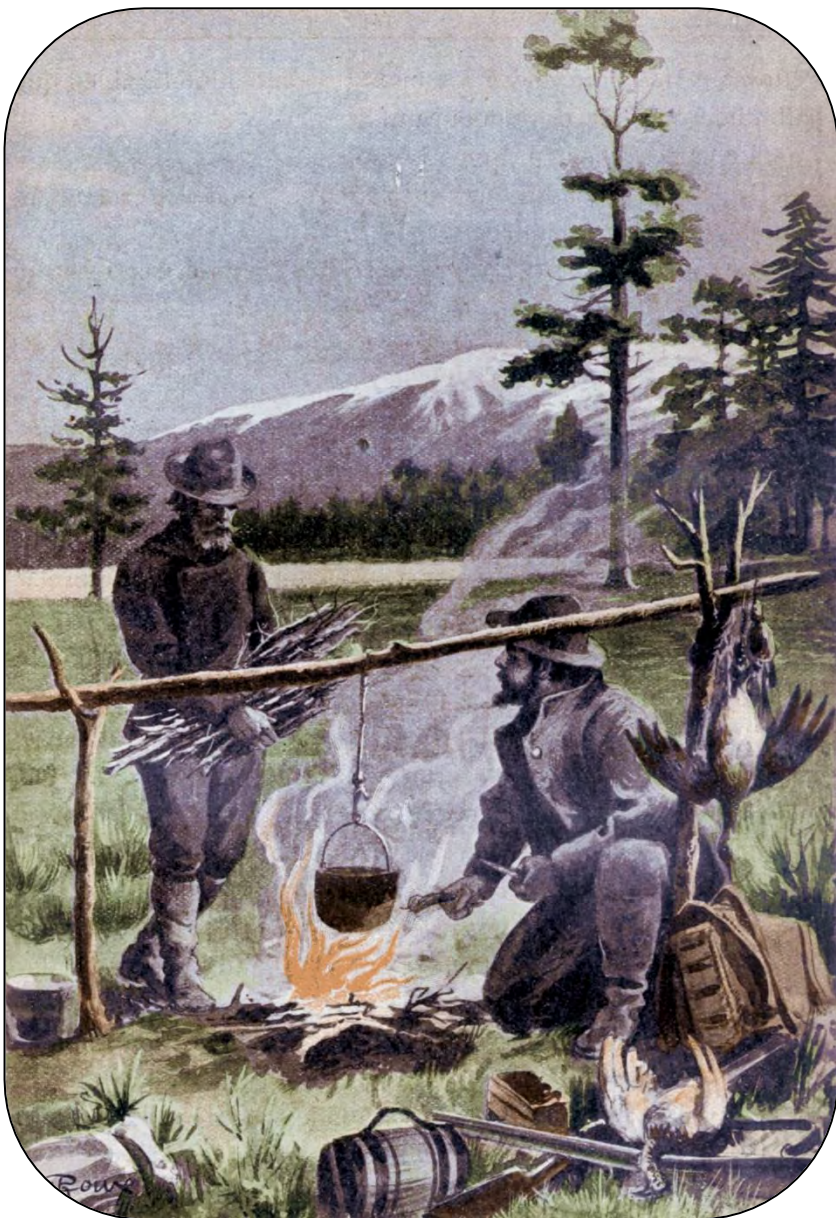
Tak minęły cztery lata. Osiągnął dwudziesty dziewiąty rok życia, kiedy zmarł jego ojciec, pozostawiając wdowę po sobie w stanie bliskim nędzy. Jacques Ledun na próżno starał się zamienić stanowisko pierwszego oficera na kapitana. Nie miał pieniędzy na kupno udziałów w statku, jakim pragnął dowodzić, co było powszechną praktyką. Pozostawał więc pierwszym oficerem, ale otwierało to przed nim niezbyt ciekawą przyszłość. Jak zdoła zatem uzyskać dostatek, choćby bardzo skromny, o jakim marzył dla swojej matki?

Rejsy zawiodły go do Australii i Kalifornii, których złoża złotonośne przyciągały tylu przybyszów. Jak zawsze, wzbogaciła się tam bardzo mała ich liczba, znacznie większą część czekały tylko ruina i bieda. Jacques'a Leduna zaślepił jednak przykład największych szczęściarzy i postanowił zbić majątek na niebezpiecznej drodze poszukiwaczy złota.

Właśnie wtedy uwagę całego świata przyciągały kopalnie Dominium, zanim jeszcze jego bogactwo rud metali tak zadziwiająco powiększyły odkrycia w Klondike. W innych swych zakątkach, mniej odległych i łatwiej dostępnych, Kanada posiadała obszary złotonośne, na których wydobywanie odbywało się w lepszych warunkach, bo nie były przerywane przez straszliwe zimy terenów nad Jukonem. Jedną z kopalń w tym okręgu, *Le Roi*¹, być może najważniejsza, przyniosła wtedy w ciągu dwóch lat dywidendę w wysokości czterech milionów pięciuset tysięcy franków. Pracownikiem tej właśnie spółki został Jacques Ledun.

Ten jednak, kto tylko wynajmuje innym trud swojej głowy albo rąk, zwykle się dzięki temu nie wzbogaca. Marzenie odważnego, lecz nierozważnego Francuza o bogactwie zdobytym szczęśliwym zrządzeniem losu pozostawało mrzonką na lądzie stałym w równym stopniu jak na morzu. Zarówno jako robotnika, jak i jako urzędnika, czekało go wegetowanie przez całe życie.

¹ *Le Roi* – kopalnia złota w pobliżu miasteczka Rossland w rejonie Kootenay, a nie Ontario, w południowej części Kolumbii Brytyjskiej, powstała po odkryciu tam złota w roku 1890, sprzedana wkrótce przez pułkownika Toppinga za 30 tys. dolarów spółce Spokane, w 1898 za ponad trzy miliony dolarów kupiona przez British American Corporation.



Opuścili Dawson City i żywiąc się upolowaną zwierzyną,
wyruszyli na północ od Jukonu.

Mówiono wtedy o odkryciach dokonanych na ziemiach w dorzeczu Jukonu. Nazwa Klondike zaślepiła, jak przedtem nazwy Kalifornia, Australia i Transwal. Tłumy górników podążały na północ, i Jacques Ledun pociągnął z tymi tłumami.

Podczas pracy na złożach w Ontario poznał pewnego Kanadyjczyka pochodzenia angielskiego, Harry'ego Browna. Obu pobudzała ta sama ambicja, obu spalało to samo pragnienie odniesienia sukcesu. To właśnie ów Harry Brown namówił Jacques'a Leduna, by porzucił pracę i wyruszył w nieznane. Obaj, z małymi oszczędnościami, jakie im zostały, udali się do Dawson City.

Zdecydowani, że tym razem będą pracowali na własny rachunek, mieli dość rozumu, aby pojąć, że powinni prowadzić poszukiwania poza aż za dobrze znanymi okręgami nad Bonanzą, Eldorado, Sixty Miles i Forty Miles. Choćby nawet ceny za *claimy* nie były tam niezmiernie wyśrubowane, dwaj kompani nie zdołaliby znaleźć wolnego miejsca. Targowano się już o placery, podbijając stawki do milionów dolarów. Trzeba było ruszyć dalej, na północ Alaski lub Dominium, znacznie poza Wielką Rzekę, na obszary prawie niezbadane, gdzie według kilku śmiałych poszukiwaczy miały się znajdować nowe bogate tereny złotonośne. Należało dotrzeć tam, gdzie nikt jeszcze nie dotarł. Musieli odkryć jakieś nowe złożę, którego własność przypadnie pierwszemu, kto je obejmie.

Tak właśnie rozumowali Jacques Ledun i Harry Brown.

Bez wyposażenia, bez pracowników, z zakupionym za resztę pieniędzy prowiantem na osiemnaście miesięcy, opuścili Dawson City i żywiąc się upolowaną zwierzyną, wyruszyli na północ od Jukonu do ledwo znanego kraju leżącego poza kołem podbiegunowym.

Kiedy Jacques Ledun udawał się w drogę, niemal dokładnie sześć miesięcy przed znalezieniem go umierającego w pobliżu Dawson City, lato dopiero się zaczynało. Jak daleko dotarła wyprawa dwóch poszukiwaczy przygód? Czy doprowadziła ich na skraje kontynentu, na wybrzeże Oceanu Lodowego? Czy jakieś odkrycie wynagrodziło im poniesione wielkie trudy? Zapewne żadne, sądząc po losie jednego z nich. I był on sam! Z dwóch kompanów, na których w drodze powrotnej napadli tubylcy, jedynie Jacques Ledun zdołał ująć z życiem, ale wszystko,

co posiadał, pozostawił napastnikom. Harry Brown zginął z ich rąk, a teraz jego kości białły na tamtych odległych terenach.

Była to ostatnia informacja, jaką zdołano uzyskać. A i to całą tę budzącą litość historię można było złożyć jedynie ze strzępków zdań, wypowiadanych przez chorego w chwilach powrotu przytomności umysłu. Jego wyczerpanie, jak przewidział doktor Pilcox, pogłębiało się bowiem z dnia na dzień.

Istniała zatem obawa, że wyniki poszukiwań Jacques'a Leduna i Harry'ego Browna, położenie terenu, do którego dotarli i skąd wracali w chwili, gdy napadli ich Indianie – wszystkie te tajemnice biedny Francuz zabierze z sobą do grobu, w którym wkrótce zostanie złożony.

A przecież istniał dokument – co prawda niekompletny – który zapewne dopełniłby zakończenie tej historii. Tylko Jane wiedziała o nim i często się zastanawiała, w jakich okolicznościach powinna uczynić z niego użytek. Na pewno zwróci go Francuzowi, kiedy odzyska zdrowie. Co jednak, jeżeli umrze...? Na razie powtarzała uparcie daremne próby rozwikłania dręczącej ją tajemnicy mapy. Na pewno przedstawiała kraj, w którym Jacques i jego towarzysz spędzili ostatni sezon letni. Jaki to jednak był kraj...? Gdzie płynął ów *creek*, którego kręta linia biegła z południowego wschodu na północny zachód? Czy był on dopływem Jukonu, Koyukuku¹ albo Porcupine River²...?

Pewnego dnia Jane przebywała sama z chorym i podsunęła mu przed oczy tę mapę, przypuszczalnie narysowaną jego ręką. W oczach Jacques'a Leduna zabłysło życie, przez chwilę skupił spojrzenie na czerwonym krzyżyku, który w najwyższym stopniu pobudzał ciekawość młodej poszukiwaczki złota. Była przeświadczona, że owym krzyżykiem oznaczono miejsce dokonania jakiegoś odkrycia... Chory zaraz jednak odsunął ręką pokazaną mu mapę i zamknął oczy, nie wypowiedziawszy choćby jednego słowa, które mogłoby rzucić światło na tę dręczącą tajemnicę.

¹ *Koyukuk* – rzeka w środkowej Alasce, prawy dopływ Jukonu, długość 684 km, płynie głównie na południowy zachód.

² *Porcupine* – rzeka w północno-zachodniej części Ameryki Północnej, prawy dopływ Jukonu, długość 916 km, źródła ma w górach Ogilvie, ok. 160 km na północ od Dawson City, płynie łukiem na zachód, wpada do Jukonu pod Fort Yukon na terenie Alaski.

Czyżby nie miał dość sił, aby mówić? A może wołał zachować swoją tajemnicę aż do końca tylko dla siebie? Czy w głębi tej duszy, bliskiej opuszczenia wyczerpanego ciała, pozostała jeszcze nadzieja na powrót do życia? Może nieszczęśnik pragnął, aby tylko jemu przypadła nagroda za tyle trudów. Może wmawiał sobie, że zobaczy jeszcze matkę, której zapewni bogactwo zdobywane dla niej.

Minęło kilka dni. Pora zimna panowała wtedy w pełni. Temperatura spadała nieraz aż do pięćdziesięciu stopni Celsjusza poniżej zera. Niemożliwe było znoszenie takich mrozów poza budynkami. Obaj kuzyni dzielili swój czas na godziny spędzane w szpitalu i w swoim pokoju. Czasami jednak, opatulwszy się w futra aż powyżej głowy, wychodzili do któregoś z kasyn, odwiedzanych zresztą przez nielicznych, ponieważ większość poszukiwaczy jeszcze przed wielkimi chłodami wyruszyła do Dyea, Skagway czy Vancouver.

Niewykluczone, że Hunter i Malone osiedli na zimę w jednym z tych miast. Pewne było to, że od czasu katastrofy nad Forty Miles Creek nikt nie widział ich w Dawson City, a także, że nie znaleźli się wśród tych ofiar trzęsienia ziemi, których tożsamość została rozpoznana.

W dni często zakłócanie burzami śnieżnymi Summy Skim nie mógł wyprawić się wraz z nieodłącznym Nelutem na polowania na niedźwiedzie¹, które zbliżały się do obrzeży Dawson City. Podobnie jak wszyscy inni musiał przebywać w niemal całkowitym zamknięciu, co obok ogromnego spadku temperatury prowadziło do rozwoju chorób, które nie przestawały dziesiątkować miasto. Szpital nie mógł już pomieścić chorych, a miejsce w pokoju zajmowanym przez Jacques'a a Leduna zostanie wkrótce zajęte przez kogoś innego.

Doktor Pilcox bez skutku próbował wszelkie sposoby mogące przywrócić Ledunowi siły. Lekarstwa przestały na niego działać, żołądek nie przyjmował już żadnego jedzenia. Było widoczne, że życie każdego dnia, a raczej każdej godziny wyciekało coraz mocniej z tego wycieńczonego organizmu.

Rankiem trzydziestego listopada nastąpiło tak mocne załamanie stanu zdrowia Jacques'a a Leduna, że istniała obawa, czy je przetrzyma.

¹ O tej porze roku na terytorium Jukonu niedźwiedzie śpią już snem zimowym.

Rzucał się i choć był taki słaby, z trudem przytrzymywano go w łóżku. Ogarnięty potężnym atakiem majaczenia bełkotał nieświadomie ciągle te same słowa.

– Tam...! Wulkan... wybuch... złoto... złota lawa...

Potem zaś, rozpaczliwie wzywając, krzyczał:

– Matko... matko...! To dla ciebie...!

Owo wzburzenie stopniowo słabło i nieszczęśnik popadł w stan głębokiego wyczerpania. Życie objawiało się w nim wyłącznie płytkimi oddechami. Lekarz uznał, że chory nie zdoła przetrzymać drugiego takiego kryzysu.

Kiedy po południu Jane Edgerton usiadła przy łóżu chorego, zastała go spokojniejszym. Sprawiał nawet wrażenie, że świadomość wróciła mu całkowicie. Na pewno doszło do wielkiej poprawy jego stanu, jak to się czasami zdarza na krótko przed śmiercią.

Jacques Ledun raz jeszcze otworzył oczy, a jego spojrzenie, wyjątkowo mocno skupione, odszukało postać młodej kobiety. Najpewniej miał coś do powiedzenia, chciał mówić. Jane pochyliła się nad nim, usiłując wychwytywać ledwo zrozumiałe słowa, które mamrotały usta umierającego.

– Mapa... – powiedział Jacques Ledun.

– Proszę – odparła szybko Jane, podając kartkę jej prawowitemu właścicielowi.

Tak samo jak za pierwszy razem odmówił gestem jej wzięcia.

– Oddaję... – szepnął. – Tu... czerwony krzyżyk... złoty wulkan...

– Oddaje pan swoją mapę...? Komu?

– Pani...?

– Mnie...?

– Tak... pod warunkiem... że zadba pani... o moją matkę.

– Pańską matkę...? Mam się zatroszczyć o pańską matkę?

– Tak...

– Może pan na mnie liczyć. Co jednak mam zrobić z pańską mapą? Nie mogę jej zrozumieć.

Umierający jakby zbierał siły i po chwili milczenia powiedział:

– Ben Raddle...

– Chce się pan widzieć z panem Raddle'em?

– Tak.

Po kilku chwilach inżynier był już przy łóżku chorego, który gestem wskazał Jane Edgerton, że chce zostać z nim w cztery oczy.

Kiedy tak się stało, Jacques Ledun odszukał po omacku dłoń Bena Raddle’a i powiedział mu:

– Umrę... moje życie mija... czuję to...

– Nie, przyjacielu – zaprotestował inżynier. – Uratujemy pana.

– Umrę – powtórzył Jacques Ledun. – Proszę bliżej... Obiecał mi pan... że nie zostawi mojej matki... Wierzę panu... Niech pan posłucha dobrze i dobrze zapamięta, co mu powiem.

I głosem, który stopniowo zanikał, ale był wyraźny – głosem człowieka, którego rozum pozostał nietknięty, który władał całym swoim umysłem – zwierzył się Benowi Raddle’owi:

– Kiedy mnie znaleźliście... wracałem... z bardzo daleka... na północy... Są tam najbogatsze złoża świata... Nie trzeba przemywać ziemi... To ziemia sama wyrzuca złoto ze swoich wnętrzności...! Tak...! To tam... odkryłem górę... wulkan zawierający ogromne ilości złota... złoty wulkan... Golden Mount¹...

– Złoty wulkan? – powtórzył Ben Raddle tonem wyrażającym lekkie niedowierzenie.

– Trzeba mi wierzyć! – zawołał Jacques Ledun z niejaką złością, próbując podnieść się w łóżku. – Trzeba mi wierzyć. Jak nie dla pana, to dla mojej matki... spadek po mnie, jego część dla niej... Wspiąłem się na tę górę... Zszedłem do jej wygasłego krateru... Jest pełen złotonośnego kwarcu, samorodków... Wystarczy je pozbierać...

Po tym wysiłku pacjent znów popadł w odrętwienie, z którego ocknął się po kilku minutach. Jego pierwsze spojrzenie padło na inżyniera.

– Dobrze – szepnął – jest pan tutaj... przy mnie... wierzy mi pan... i pójdzie tam... tam... do Golden Mount...

Głos chorego cichł coraz bardziej, i Ben Raddle, którego rękę przyciągnął, pochylił się nad jego łóżkiem.

– Na szerokości geograficznej sześćdziesiąt osiem stopni, trzydzięści siedem minut... długość jest podana na mapie...

¹ *Golden Mount* (ang.) – Złota Góra.

– Na mapie? – zapytał Ben Raddle.
– Trzeba zapytać... Jane Edgerton...
– Panna Edgerton ma mapę tego miejsca? – Ben Raddle nie mógłby się bardziej zdziwić.

– Tak... ode mnie... Tam... w miejscu oznaczonym krzyżykiem... nad *creekiem*... na północy Klondike... wulkan... z którego niedawny wybuch wyrzuci samorodki... którego żuźle są ze złotego pyłu... tam... tam...

Jacques Ledun, lekko podniesiony w ramionach Bena Raddle'a, wyciągnął drżącą rękę w kierunku północnym. Z jego sinych ust wyszły ostatnie słowa:

– Matko... matko...

A potem, z niezmierną łagodnością:

– Mamo!

Wstrząsnęła nim potężna konwulsja.

Skonał.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!